№ 25. Warszawa, 25 Czerwca 1909 roku. Rok II.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK NAUKOWO-LITERACKI, SPOŁECZNY i POLITYCZNY.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZEŃSTWO" wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji **Żórawia 29 m. 2. Tel. 116-67.**

OGŁOSZENIA po kop. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można w soboty i wtorki od g. 2 — 3 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Wobec kończącego się kwartału prosimy Szanow. Prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III i półrocze II.

RUGI W RADZIE PAŃSTWA.

Gdy układano prawo wyborcze dla Rady Państwa, ruch wolnościowy był jeszcze w całej pełni. To też jedyną troską prawodawcy ówczesnego było stworzenie takiej Izby wyższej, którąby—jak wszędzie zresztą indziej, gdzie panuje system dwuizbowy—stanowiła skuteczną przeciwwagę dla Izby niższej, Dumy.

Cel ten został osiągnięty. Prawie wszyscy członkowie Rady Państwa z wyboru są przedstawicielami najwyższej plutokracji agrarnej i kapitalistycznej, całkowicie idą na pasku rządu każdorazowego. Tyczy się to i panów polskich, tak z Królestwa, jak z Litwy i Rusi. Z wyjątkiem jednego tylko Korwina-Milewskiego, litewskiego „krajowca", który dzięki wybitnemu indywidualizmowi i wysokiej kulturze umysłowej śmiał się przeciwstawiać rządowi i zdziecinniałym lordom z prawicy, broniąc—ze swego stanowiska liberalnego konserwatysty typu angielskiego — zasad i konsekwencji 30-ego października,—reszta polaków była niemymi naogół statystami tej parodji ciała prawodawczego, jaka rozgrywa się w rosyjskiej Izbie starców, a „opozycyjność" ich nie wykraczała poza centrum Rady.

Taki porządek rzeczy nie napotykał się też na żaden zarzut, dopóki ruch wolnościowy nie został zdławiony. Gdy jednak nastąpiło „uspokojenie", gdy po wytępieniu jednych „wrogów wewnętrznych"—socjalistów, prawicowcy rosyjscy, aby utrzymać się na powierzchni życia politycznego, musieli wyszukać innych—i znaleźli ich w „inorodcach", gdy, słowem, nastała era nacjonalizmu *à outrance*, zwrócono uwagę na obecność polaków w Radzie, postanowiono ich stamtąd wyrugować jak częściowo usunięto już z Dumy.

Zwrócono się w tym celu przedewszystkim przeciw polakom, wybranym z Rusi i Litwy, czyli z 9 gubernji t. zw. zachodnich.

Najłatwiej tu było o pozory słuszności.

Dzięki właśnie ordynacji wyborczej, z ziem tych weszli do Rady sami tylko polacy, którzy tworzą tam *gros* obszarników i nie świecą absenteizmem w tym stopniu, co junkrzy pochodzenia rosyjskiego,— dzięki jej właśnie, kraj, uważany przez rząd i jego zauszników za odwiecznie rosyjski, otrzymał przedstawicielstwo rdzennie polskie. Pomimo też, że polskość to była „krajowa" w złem znaczeniu tego wyrazu i nawskroś ugodowa, mogli prawicowcy przybrać maski obrońców narodowości niepolskich. zażądać wyrugowania z Rady polaków i takiej zmiany prawa wyborczego, któreby oddawało mandaty ludziom prawdziwie rosyjskim.

Jakoż to miał na celu wniosek 33 członków Rady z osławionym p. Pichną na czele.

Nie mógł go przyjąć rząd ze względów czysto for-

malnych. Ale, zdecydowawszy się iść posłusznie za wolą „patrjotów" rosyjskich, wypracował inny, prowadzący ostatecznie do celu tego samego.

Pod wpływem protestu Korwina-Milewskiego, który wbrew innym członkom-polakom nie chciał pozostawać w Radzie, jak „odprawiona, ale jeszcze nie rozrachowana służąca", komisje w Radzie Państwa i w Dumie wniosek rządowy odrzuciły.

Wniosek ten zbyt jaskrawo kłócił się z podstawami życia konstytucyjnego i zasadą wybieralności, domagając się niepraktykowanego nigdzie przedłużenia na rok upływających właśnie teraz mandatów litewsko-ruskich członków Rady Państwa. W ciągu tego roku gabinet przyrzekał wprowadzić w gubernjach zachodnich samorząd ziemski, któryby mechanicznie już zmienił podstawy prawa wyborczego i obalił przewagę polaków.

W pełnej Dumie projekt rządowy mógł przepaść tylko w razie, gdyby październikowcy postanowili kontynuować swą nagle przejawioną „opozycyjność". Nadzieje atoli optymistów zawiodły.

Stronnictwo p. Guczkowa, które musiało głosować z opozycją w sprawach wyznaniowych — gdyż szło mu o współwierców *leadera*, staroobrzędców, które przyłączyło się do interpelacji, skierowanej przeciw „związkowi ludu rosyjskiego", — gdyż szło o poskromienie nazbyt już wysuwających się na pierwszą płaszczyznę prawicowców, to stronnictwo, gdy podniesiono sprawę nowego ograniczenia inorodców pozostało wierne drugiej części swego naczelnego hasła: w rzeczach narodowościowych—z prawicą!

Że nie dochowało pierwszej części tegoż hasła: w rzeczach konstytucyjnych z opozycją! — o to już mniejsza. Pomimo zapewnień o wierności dla zasad manifestu 30 października, „stronnictwo rządu każdorazowego" tyle już razy przekraczało literę konstytucji, że z największą łatwością pogwałciło wszelkie prawidła postępowania parlamentarnego, zgłaszając do wniosku rządowego poprawkę, będącą w istocie z punku prawnego nowym zgoła projektem.

Gabinet domagał się przedłużenia mandatów rusko-litewskich na rok jeden, w ciągu którego przyrzekał wprowadzić w ziemiach odnośnych samorząd,— „oczywiście—jak oświadczył premjer - z poprawkami, odpowiadającemi warunkom miejscowym". Październikowcy wnieśli „poprawkę", opiewającą, że wybory odbędą się w czasie przepisanym, ale mandaty będą ważne tylko na jeden rok — zamiast trzech—w ciągu którego to czasu rząd ustanowi na Litwie i Rusi samorząd ziemski i przeprowadzi nowe wybory już na nowych, zgodnych z tym samorządem podstawach.

Projekt ten, zamiast zostać skierowany na zwykłą w takich razach drogę, został naprędce przyjęty przez większośćprawicowo-październikową przeciw głosom całej opozycji łącznie z polakami.

Demagogiczna, bo broniąca rzekomo szczerze praw klas nieposiadających do przedstawicielstwa w Radzie Państwa, brutalna i insultująca polaków, bo nazywająca ich pasażerami, jadącymi „na gapę" w pociągu państwa rosyjskiego, mowa premjera dokazała swego. Październikowcy odczuli, że w niej uderzono w ich ton i raz jeszcze dowiedli, że dziś, w Rosji, niem żadnego prawa wyborczego, którego najdrobniejsza zmiana dokonywaną być może jedynie wobec niezbitej konieczności i z zachowaniem wszelkich rygorów konstytucyjnych, — lecz jest tylko zbiór przepisów, przerabianych na tysiączne łady za każdą zachcianką reakcji.

Takież też zakończenie naganki p. Pichny *et consortes* na litewsko-ruskich członków Rady jest wysoce znamienne i pouczające. Raz jeszcze dowodzi jaskrawo, jak kurs nacjonalistyczny wzmaga się i obala wszelkie przeszkody, jakim obłędem ze strony burżuazji polskiej było przekonanie, że ugodą lub krajowością można przebłagać prawicę i zjednać sobie Guczkowa.

Czy jednak otrzeźwienie pod tym względem wśród burżuazji naszej nastąpi, jest więcej, niż wątpliwe. Poseł Żukowski, protestując przeciw rugom mówił: „My, polacy, patrzymy na to spokojnie dlate-

JAN STRAUSS.

KUBA TOPOREK.

(Dokończenie).

Kuba krzynę się zdumiał, nie tyle z bólu, co z podziwu, bo mu czarne płatki, nikiej sadze, latały przede ślipiami; we łbie zrobiło się zimno, jakaś gorącość pociekła po chudej twarzy. Jakaś mdliwość załechtała pod językiem, aże nijako zrobiło się na sercu. Później, jak łuczywo w ciemności, zamajaczyło w mózgu, że to karbowy, Matus, piekielnik, zdzielił go kluczami, aże mu posoka wytrysła i zalała oczy. A wtem bólu, jak gadziny, odżyły wszystkie urazy, wszystkie zapomniane złości, noszone oddawna na wątrobie, jak ogniłe wrzody; wszystkie wymysły, jakie znosił i on i baba i dzieciska nieraz, nie dziesięć, mało sto razy; a wszystko przez tego i od tego świntucha, więc nim zatrzęsło, aż się bebechy wywróciły do góry nogami w kałdunie. Nienawiść zagrała rozpłomieniając zgryzotę, posiadła całą jego istność, moc, siłę i władzę świadomości. Sam nie wiedział, jak i kiedy przyskoczył do karbowego, jak się chwycili za bary, nikiej dwa wilki o wieprza zbłąkanego w lesie. Łby się zetknęły i uderzyły, jak kamienie, oczy zaświeciły ciemnym blaskiem wysiłku i chęcią zmożenia przeciwnika; wodzili się po całym obszernym ganku za orzydla, szturgali, gryźli się zębami, jak dwa dworskie brytany, spuszczone z uwięzi.

Dziedzic, siedząc w pokoju, usłyszał churgot i rumotanie, porwał się prędko i wyszedł, ciekaw, co się dzieje. Stanął na progu i ujrzał wodzących się chłopów. Począł przypatrywać się bójce: widział często, jak karbowy, w jego imieniu, prał po mordzie parobków, aż twarze klaskały, jak kacze skrzydła o wodę; był pewny, że zuch karbowy i sielny bijak, któremu nikt nie podoła, zmoże Kubę, jak tygrys jelenia.

A chłopi gnietli sobie żebra, wodzili, prali się po łbach; każdy zdobywał się na zawziętość, zadawał jak najsilniejsze i najboleśniejsze razy przeciwnikowi. Wreszcie Toporek zmógł karbowego i zmęczył: dostał mu się garścią do grdyki i ścisnął krzynę, a drugą pięścią, jak obuchem, puknął trocha pomiędzy oczy. Mateusz, setny chłop, jednak pobladł, nikiej miejski chłystek, zrobił się gibki, mięki i wiotki, i jak woda leciał sam przez ręce. Wówczas krzyknął dziedzic:

go, że walka zahartowała naszą duszę narodową, i dlatego, że nie sądzimy, by polityka ta mogła trwać długo.“ Kwietyzm taki, to słodkie upajanie się nadzieją spotykają się z brutalnem zaprzeczeniem ze strony hakatyzmu pruskiego, który dobitnie świadczy, że polityka narodowościowych praw wyjątkowych może właśnie trwać dłużej, niźli przypuszczają to wszelkie przewidywania statystów, a bawieniem się w księcia niezłomnego narodów jest tylko „patrzenie spokojne" na rzeczy, które domagają się działania w sposób inny, aniżeli dotychczasowy.

Dla polskiej klasy robotniczej, zarówno jak dla proletarjatu wszechrosyjskiego, nowe ograniczenie praw polaków nie mogło pozostać obojętne, jako jedno więcej ogniwo w łańcuchu praw wyjątkowych. Dał temu wyraz poseł Czcheidze, żądając w imieniu frakcji s. d., aby Duma udrzuciła zarówno projekt rządowy, jak i poprawkę frakcji związku 30 października dlatego, że projekt ten prowadzi do dalszego jeszcze pogorszenia składu Rady Państwa, wzmacniając przedstawicielstwo obszarników prawdziwie rosyjskich, dążących do całkowitej restauracji ustroju absolutnego,— że wniesienie tego projektu jest nowem ustępstwem rządu wobec uroszczeń czarnej sotni, że w projekcie tym raz jeszcze przejawiła się tradycyjna i charakterystyczna dla rządu polityka rozżagwiania waśni narodowościowych, korzystnych dla kamaryli, lecz szkodliwych dla mas ludowych i dla rozwoju ich uświadomienia.

— *ski.*

NA WIDNOKRĘGU POLITYCZNYM.

DZIEJE POKOJU I WOJNY.

Pokój, pokój! Oto idea, głoszona ze wszystkich ambon świata kapitalistycznego, z najwyższych szczytów społeczeństwa burżuazyjnego. Głoszą ą nietylko patentowani apostołowie pokoju dyplomatycznego i „robiący“ w pacyfizmie profesorowie i dziennikarze—idea pokoju stała się ulubionym sportem handlarzy — filantropów i miljonerów ideologów. Rodak nasz, pan Bloch, wznosi muzeum pokoju, w którym obok portretów baronowej Suttner i Tołstoja, Roosevelta, wystawione są ku uwielbieniu publiczności, również portrety ukorowanych apostołów, którzy sprawie pokoju przysłużyli się tem, że zawarli pokój... po długiej i obficie krwawej wojnie. Ba, wszak szermierzami pokoju są również fabrykanci armat Creuzot i Krupp. Nic tedy dziwnego, że temu wdzięcznemu i niewinnemu sportowi oddaje się z zamiłowaniem amerykański miljoner Carnegie, któremu pomimo jego miljardów, megalomanji i iście amerykańskiego poglądu na świat, niepodobna odmówić owocnych zapoczątkowań na polu oświaty ludowej. Carnegie, który głosi, że za ideał uważa wolne ścieranie się energji jednostek i prawo silniejszego do panowania nad słabszym (panowania rozumnego i wielkodusznego), powinien uznać, jako konsekwencję, również ścieranie się energji narodów, które musi wyrazić się w wojnie. Niemniej uważa on widocznie, iż zły pokój lepszym jest od dobrej wojny i w program swej działalności filantropijnej włączył pacyfizm. Kilka lat temu ofiarował on miastu Haadze wspaniały gmach pokoju, w tych dniach złożył on na ręce francuskiego rządu 5 miljonów franków, w których odsetki przeznacza dla bohaterów, którzy odznaczą się aktami odwagi i poświęcenia poza wojną na gruncie pokojowym. W ten sposób Carnegie pragnie najwidoczniej spopularyzować ideę, iż bohaterów niekoniecznie należy szukać na polu broni, że bohaterowie życia codziennego zasługują na uznanie w takiej samej mierze, jak bohaterowie wojny. Wszakże rozdaje jedną ręką swe miljony, odbiera je pan Carnegie drugą wszystkim tym którzy po dokonanym akcie, nie zostaną „godnymi szacunku obywatelami społeczeństwa“. Reglamentując w ten sposób bohaterstwo, pan Carnegie chce nietylko przyczynić się do propagandy idei pokoju, ale pragnie także zgodnie z swą teorją wyłowić z szarej masy ludzi jednostki pełne energji, którzy dzięki pieniędzom pana Carnegie, zastosują swoją energję do przemysłu i może w przyszłości zostaną... Carnegie'ami. Jeśli przypomnimy sobie, że Roosevelt, kilka lat temu ogłosił z wysokości swego fotelu prezydenckiego, że przywódcy związków robotniczych są „niepożądanymi członkami społeczeństwa“, i świat przemysłowy Ameryki odpowiedział mu oklaskiem — zrozumiemy, jaki użytek pragnie on zrobić z 5 miljonów, złożonych na ołtarzu pokoju. Ciekawem jest, jak zastosuje się do

---

— Kuba, psiakrew, bo go zabijesz, puść go, jucho, zaraz!

Toporek w jednej chwili stropił się wielce i wypuścił z uścisku Mateusza, który dyszał ciężko i stał ledwie żywy. Kuba pokłonił się dziedzicowi nizko, do samej ziemi, i obracając koniec paska, bąkał zdyszany z trudem wciągając powietrze.

— Dziedzicu, jaśnie dziedzicu, przyszedem prosić o hela tela zasiłku na odrobek, bo w chałupie bida, aż piscy; dzieciska płacom, co niech Bóg zachowa i broni. Jaśnie dziedzicu, retujcie w bidzie, człek charował i charować będzie, aby oddać robotę, oddać z podziękowaniem, jeno retujcie, jaśnie dziedzicu, dziecioki. Niech tak nie skomlom z głodu, nikiej psioki—jaśnie dziedzicu... dziedzicu drogi i złoty!....

I pochylał się i obłapiał nogi i żebrał się ostatnio, jak ostatni z ostatnich; kochał Małgoś, kocha dzieci, kochał chałupę przywiązaniem psa; nie zważał, nie baczył na chłopski hunor, ani na ambicją, ani na Mateusza, ani na srogą minę jaśnie pana, jeno szeroki grzbiet zgnięty trzymał, a molestował sielnie, żeby się i cygan albo i kamień ulitował nad nieborakiem.

— O wspomożenie, o ratunek dla głodnych dzieci przyszedłeś prosić — mówił ze złością dziedzic — a ludzi mi rozbijasz i tłuczesz, jak zbój w lesie, jak bandyta na gościńcu. Gadaj mi zaraz, za co pobiłeś Mateusza, co? Za coś go krzywdził?...

— A jušci, jušci, święta prawda, jaśnie dziedzicu, ruszyłem go krzynę, bo mi łeb kluczami pomacał, ale jom ta tak wiele nie winien, bo un chuchro, ścierwa, wiecheć, wyciruch pański. Na cudzym chlebie stał się hunorny, jak ogier cugowy; zawdy człowiekiem bidnym pomiato, słówecka dobrego nie do, uszanowania nijakiego nimo, ten, jucha dziedzic dziedzic jakiś! — zgrzytnął zębami i mimo woli posuwał się zapamiętale ku Mateuszowi.

— A cóż on ci takiego powiedział? — pytał niedbale pan.

— Pedzioł, żem przyszedł ziebrać do dwora, a to nieprawda, jak mi Bóg miły, nieprawda, jo kce jeno poborgować, i odrobie, Panie Boże dopomóż, odrobie szczyrze; znajom me ludzie, znajom me i dziedzic, żem robotny, żem chłop całom gębom, jak należy. Jo ta ochfiary, ani łaski żadny — choćby i od samego nawet dziedzica — to niekce!...

Dziedzic brwi zmarszczył i począł mówić srogo

tego legatu ideolog równości i sprawiedliwości—pan Clemenceau.

Dla pokoju międzynarodowego rozpoczyna się epoka nader pomyślna. Co roku, z rozpoczęciem lata, gdy parlamenty świętują, wytwórczość się zmniejsza, wymiana słabnie, wstrzymuje się również tętno życia społecznego. Jest to czas obrachunków za rok przeszły i planów na rok przyszły. Dlatego też w tej epoce odbywają się wielkie kongresy międzynarodowe świata robotniczego i z tego samego powodu w tym czasie składają sobie wzajemne wizyty monarchowie. Zarówno kongresy jak wizyty w ostatniem dziesięcioleciu odbywają się pod znakiem zapewnienia pokoju międzynarodowego. Znaczenie międzynarodowych kongresów robotniczych dla sprawy pokoju jest faktem ustalonym. To w łonie tych zgromadzeń, omawiających sprawy, dotyczące interesów zawodowych, gospodarczych i politycznych klasy robotniczej kiełkuje, krupnie i wciela się w życie ideja pokoju międzynarodowego, solidarności międzynarodowej klasy pracującej, tutaj bowiem nikt nie chce wojny, tutaj wszyscy z jednakowem utęsknieniem i jednakowym zapałem dążą do urzeczywistnienia idei pokoju. Inaczej zjazdy monarchów. Bezwzględnie, dzięki właśnie pogłębieniu świadomości interesów klasowych mas pracujących prowadzenie wojny w państwach europejskich staje się coraz trudniejszem, i coraz bardziej klasy rządzące muszą ograniczać się na pobrzękiwaniu bronią i spory swe rozstrzygać na gruncie porozumienia. W chwili obecnej wszystko składa się pomyślnie dla sprawy pokoju: Francja nie chce wojny, Anglja wojować nie powinna, Niemcy wojować nie mogą, a Rosja wojny się obawia. Pozostają państwa pomniejsze, którym pokój i wojna zostały jednakowo nakazane przez mocarstwa potężniejsze. Gdy więc nie chce się lub niepowinno wojować, pozostaje jedyne wyjście: porozumieć się i temu też celowi służyć mają wizyty monarchów. W Anglji i Francji interpelowano rządy w sprawie zapowiedzianych odwiedzin monarszych i rządy obu tych państw odpowiedziały jednomyślnie: podróże te mają na celu umocnienie pokoju. Wprawdzie i w roku zeszłym odbywały się podróże to samo mające na celu, załatwione zostały sprawy drobnych państw i państewek, opracowane plany dotyczące Turcji, Persji, Bulgarji, sprawa bałkańska była przedmiotem szczególnych narad i specjalnych podróży i pomimo to pokój europejski niejednokrotnie został zakłócany i kilkakrotnie rozbrzmiewała pobudka wojenna. I tylko stanowczej a zdecydowanie pokojowej postawie mas pracujących zawdzięczyć należy, że liczne te zatargi nie pociągnęły za sobą krwawych zapasów. Porozumienie niemiecko-rosyjskie, na terenie bałkańskim, a francusko-niemieckie na gruncie Maroka były jaskrawym dowodem tego, jak kruchą jest podstawa dyplomatyczna pokoju międzynarodowego i jakie klęski nawiedziłyby Europę, gdyby pokój tylko na tych podstawach się opierał. Natomiast, podróże dyplomatyczne nader owocne są na punkcie decydowania losów państw drobniejszych. Persja znakomicie odczuwa teraz zbawienne skutki tych podróży, podróże tegoroczne niewątpliwie obdarzą taką samą opieką Kretę, a może i Albanię. Ale o tem nic nie mówią odpowiadający na interpelacje ministrowie.

Turcja i Grecja porozumiały się znakomicie na punkcie panowania na Krecie. Turcja uważa Kretę za swoją prowincję, a Grecja nie chce się do Krety przyznać. Sprawa byłaby załatwiona na drodze porozumienia, gdyby nie drobny szkopuł: Kreta nie chce należeć do Turcji, uważa ona za naturalną macierz—Grecję, a króla greckiego za naturalnego zwierzchnika. Oczywiście, że Grecja wyrzeka się tak smacznego kęsa jedynie dlatego, że pięciokrotnie od niej silniejsza Turcja nie da go sobie wydrzeć. Grecja udaje tedy obojętność, doradzając Krecie odwołanie się do mocarstw, które w tej sprawie mają ostatecznie zadecydować. Według wszelkiego przypuszczenia mocarstwa przyznają rację silniejszej Turcji, wszakże Turcja zabiera się do forsownych przygotowań na wypadek wojny z Grecją, według doniesień telegraficznych. Turcja nietylko ulepsza drogi, wzmacnia mosty, zastosowując je do przejścia ciężkiej artylerji; fort przy lądzie Karaburum postawiony został na stopę wojenną. Przygotowania nie ustają we dnie i w nocy. Słowem pokój jest w niebezpieczeństwie, otwiera się jedyna wdzięczna dziedzina dla „pokojowo" usposobionej dyplomacji europejskiej. Przyszłość pokaże, jak się ona ze swego zadania wywiąże.

— Więc cóż, że ci tak powiedział, przecież ci korona z głowy nie spadła; takiś, bestjo, honorowy?...

— Juści, takim, dziedzicu, poretujcie, jaśnie panie — wykrzyknął Kuba jakby oszalały z rozpaczy.

— Głupiś, mój Kubo, kto honorowy, ten nigdy o nic nikogo nie prosi. Rozumiesz, mój Kubo?

— Rozumiem, dziedzicu, nie prosi, jeno co robi?.....

— Pracuje i stara się, jak Bóg przykazał.

— Pracuje, dziedzicu?...

— Tak.

— Dyć, dziedzicu, jo na moich trzech morgach pracowałem, w Kielcach drzewo rombołem, i u dziedzica sielnie, o sielnie pracowołem we żniwa, a przeciek nimoma z kobitom i z dzieciokami co w gęby se powrażać.

Cymu to tak, dziedzicu?...

— Głupiś, mój Kubo, — rzucił nieco gniewnie dziedzic.

— Głupim, dziedzicu, ale poretujcie, panie!

— A będziesz ludzi rozbijał, będziesz się bić z Mateuszem?

Kuba drapał się po głowie, spoglądał zezem w strone karbowego i nie mógł siebie opanować w wzruszeniu i złości, nie mógł wyrzec słowa, bo go uraza rozpierała, że aż tchu brakowało w piersiach, więc zagryzł wargi, zaciął się i milczał ciągle.

Dziedzic począł się niecierpliwić.

— No, jakże, będziesz ludzi rozbijał?...

— Kiej jo nikomu krzywdy nijakiej nie zrobił.

— Jakto nikomu, a Mateusz? — mówił dziedzic.

— Un, dziedzicu, to co inszygo.

— A będziesz się z nim bił?

— Nimogę wiedzieć, jaśnie panie, — a w duszy zaklinał się na wszystkie świętości, że karbowemu nie daruje, że go przydybie gdzie w kącie i zakotrupi, jak Bóg w niebie, tak go zakotrupi. Zamaluje kłonicom w mordę, jeno zipnie i już będzie po nim, jak amen w pacierzu — już mu się przysłuży, już go popamiento.

— Nuże, Kuba, nic nie mówisz więcej?...

— Poretujcie, jaśnie panie — i znowóż chycił pana za kolana.

— A masz złość do Mateusza?

— Mam, panoczku, o mam!

— Więc mu odpuść i daruj, aby i tobie było odpuszczono.

Chłop się zatrząsł.

O POSTĘP POLSKI.

(Dokończenie.)

Nie można przeoczać tego faktu, że rozwój stosunków w Królestwie nie poszedł po linji dawnych wskazań i że w ugrupowaniu sił społecznych zaszły w ostatnich latach poważne zmiany, które oddziałały w sposób odmienny na bieg życia społeczno-ekonomicznego, wysuwając nowe zadania. zgoła różniące się od poprzednich.

Nowe, najbliższe zadania wymagają nowych linji taktycznych. Należy wytknąć je bez obawy, uprzednio rozważywszy bez złudzeń grę sił, prowadzoną na szachownicy społecznej.

Poprzednie wyliczenia i kombinacje żywiołów radykalnych niechybnie doprowadzić muszą do ostatecznej przegranej. Kto usiłuje dziś dążyć jeszcze po linji dawnych wskazań, popełnia na nową modłę stare błędy, które bezlitośnie pomszczą się w chwili ponownego podjęcia pracy. W sposób tragiczny zawsze schodzą ze sceny ci ludzie, którzy w czasie rozbicia i bezwładu pragną kontynuować tę samą rolę, jaką odgrywali w wielkiej i świetnej przeszłości. Zarówno jednostki, jak i całe stronnictwa, dotknięte hypnozą dni minionych, nie mogą pojąć smutnej rzeczywistości, która olbrzymi gmach radykalizmu obróciła w popioły. Stan ten już nie tyle jest szkodliwy dla teraźniejszości, ile dla działalności przyszłej, bowiem kto przyjmuje wspomnienia dawnej władzy za istniejącą obecnie (o czem wymownie świadczą uchwały zjazdu, który odbył się niedawno na emigracji) nie może, rzecz prosta, zrozumieć znaczenia realnych zadań, stojących na porządku dziennym. Dziś nastał t. zw. okres pracy organicznej. Reakcja na tym gruncie wyprzedziła znacznie żywioły postępowe i radykalne. Chrześcijańska demokracja rozwija intensywną działalność, zakłada związki zawodowe, kooperatywy, domy ludowe; wciąga tym sposobem w zakres swoich wpływów coraz szersze masy i *czynami* zjednywa je dla swoich celów. Chrześć. demokraci i niezamaskowany kler sypiąc szańce w postaci instytucji społecznych mają na widoku przyszłe zmiany polityczne, które powołają sfery radykalne na pole twórczej pracy.

Wówczas rozpocznie się zmaganie i walka o dominujące stanowisko w środowisku klasy robotniczej. Walka ta tem uciążliwszą będzie dla obozu radykalnego, im bardziej okopie się wstecznictwo w czasie bieżącym. Prosty stąd wniosek wypływa, że ze wszech miar należy ułatwiać i popierać akcję przeciw wstecznictwu, prowadzoną obecnie wyłącznie przez żywioły postępowe. Każde zwycięstwo postępowców jest poniekąd zwycięstwem radykałów, każda nowa placówka oświatowo-kulturalna stanie się w przyszłości terenem, który dostępniejszy będzie dla rozwijania idei radykalno-demokratycznych.

Niezaprzeczony błąd popełniają ci, którzy w szprychy kół postępowych wsuwają dziś kołki uprzedzeń ideowych, utrudniając tym sposobem konsolidację żywiołów demokratycznych, — niezmiernie pożądaną nawet w okresach rozkwitu organizacji radykalnych.

Praca postępowców *w czasie bieżącym* nietylko nie wyklucza, lecz poniekąd (pod kątem widzenia względnych korzyści) zastępuje działalność żywiołów radykalnych, albowiem walka z wstecznictwem i praca oświatowo-kulturalna są to zadania, możliwe w obecnych warunkach politycznych jedynie dla nich do przeprowadzenia.

Niezmiernie kruchym jest pogląd, według którego trzeba się odrzec od dawnych podstawowych zasad — by módz przyznać możliwość istnienia postępu polskiego. Twierdzenie to pochodzi od ważnego, lecz mylnego poglądu na znaczenie naszej klasy robotniczej w spółczesnym okresie rozwoju społecznego. Proletarjat ogłoszony został za jedynego rzecznika dążeń wolnościowych, jego partji przypisano rolę partji ogólno-krajowej. Jeśli w pewnych, burzliwych chwilach— pogląd ten odpowiadał rzeczywistym warunkom — to dziś w zmienionym układzie rzeczy mija się on z faktami istniejącymi.

Różnicowanie polityczne poczyniło postępy. Nietylko w innych warstwach społecznych hasła radykalne nie znajdują oddźwięku, lecz nawet w środowisku robotniczem odzywają się słabem i głuchem echem. Dalsze różniczkowanie sprzyjać będzie coraz wyraźniejszej krystalizacji grup i stronnictw politycznych, które ograniczą w najwyższym stopniu zakres wpływów dla jakiegokolwiek bądź stronnictwa, roszczącego pretensje do odgrywania roli syntezy politycznej. Jedynie w wyjątkowych okolicznościach elementy społeczne, przynależne da warstw innych, mogą się czasowo skupić wokół partji robotniczej, czyniąc z niej wyrazicielkę interesów ogólno-narodowych — (jak to dało się zaobserwować również i w Niemczech). Lecz jest to zjawisko niestałe, szybko znikające na widnokręgu politycznym, u nas zaś rola stronnictwa robo-

---

— Kiej nimoge, nijak nimoge! — odparł z dziwnem zapamiętaniem w całej postaci.

— No, to ruszaj do djabła, gdyś tak zatwardziały poganin! — wykrzyknął rozgniewany nie na żarty dziedzic.

Kubie, zacharczały piersi, tłumionem westchnieniem, łzy popłynęły ciurkiem, gorycz, nikiej piołun, uderzyła do gardła i chciała go udusić strasznym kurczem żalu. Coś się w nim oberwało, skonało, zaprzepaściło, zamarło na wieki wieków, jak dusza, nie oglądająca światłości anielskiej twarzy. Jakiś dreszcz zbudził się i zasnął w nim snem piekielnie trwałym. Postał jeszcze chwilkę i, niekłaniając się dziedzicowi, pocłapał się wolno do chałupy, jak zmokła kura na grzędę. Jakaś mgła pokryła mu duszę i mózg przysłoniła krwawą płachtą bezwładzy duchowej. Nie myślał nic i nie czuł nic. Był jak ta przydrożna grusza, zwalona przez burzę, rozdarta piorunem, oblana strugami deszczu, obryzgana błotem z cuchnącego rowu. Był jako kwiat polny, wdeptany bydlęcia kopytem w rozmiękłą ziemię. Był jako ta pracowita pszczoła zimą wyjęta z ula i z urwanemi skrzydły rzucona na zimny śnieg albo i przytłoczona bryłami lodu. Wlókł się, jak nieszczęście, jak lawra nocna, jak duch cmentarny, jak widmo śmierci i jak przekleństwo pokolenia. Opadła chłopska dusza na dno zapomnienia, w czeluść bezruchu padła, jak kamień, zgalwanizowana tępym bólem znieczulenia, z drętwieniem odruchów; padła z poszarpanym wrzaskiem podle, haniebnie zduszonym przez rzeczywistość życia. Dowlókł się do chałupy i stanął przed progiem — bał się wejść, bo tam było ziemskie piekło wraz z chłopską czarną rozpaczą, tam był głód, jęki jego dzieci, był ból, była męka, co żre dusze, jak jadowita żmija słodkie ciało dziecka, jak legiendowy polip, co serdeczną krew pije i zostawia starców w dwudziestej wiośnie, co spycha indywidualność człowieka na zwierzęcą gehennę i uczy już w kolebce przeklinać milczeniem wszystkie cuda, piękna i bożyszcza wszystkie. Stał przygnieciony życiem, zdruzgotany bezradnością i nie wiedział, co ma z sobą począć na ogromnej ziemi, w którą stronę zwrócić zamglone oczy i opuchłe, okrwawione stopy, gdzie zaprzedać w niewolę swe ciało, i gdzie posłać umęczoną duszę.

Z chałupy wyszła Kubina — spostrzegła przy progu stojącego męża, więc rzekła z upragnieniem.

tniczego pod tym względem jest obecnie zupełnie beznadziejna.

Dziś w interesie klasy robotniczej leży rozwój własnego stronnictwa i stronnictwa postępowego, — rozwój niezmiernie trudny w warunkach reakcji społecznej przeciw wszelkim dążnościom demokratycznym.

Wskazaliśmy powyżej, że istnieją dziś znaczne koła postępowe, którym ideologja klasy robotniczej nie odpowiada i jest poniekąd obca.

Odmawiając tym elementom pola dla rozwoju swych sił, skazuje się je tem samem na przymusową bezczynność. Zaś wszelka bezczynność z punktu widzenia jakiegokolwiek bądź światopoglądu jest błędem, niezmiernie szkodliwym dla sprawy, którą za wszelką cenę podnieść należy.

Zaiste dziwnem się wydaje, że w warunkach, kiedy kler rozpanoszył się w całym kraju i nakłada swą władczą rękę na wszelkie przejawy kulturalnego życia, kiedy zjednoczone wstecznictwo podnosi głowę, i zgodną, czarną, olbrzymią ławą bez najmniejszego oporu rwie ciągle naprzód i zabiera jedną postępowo-radykalną placówkę za drugą — podnoszą się jeszcze głosy, bezwzględnie wrogie dla kół demokratycznych i wolnomyślnych, odmawiające im racji istnienia. Są to tak głęboko tkwiące przesądy, że tylko przyszłość zdolna będzie je wykorzenić. — Ludzie wyznający je należą widocznie do tej kategorji zaślepionych idealistów wierzących zapewnie w blizkość powrotu świetnej przeszłości, która uczyniłaby znów zbytecznemi wszelkie ugrupowania postępowe.

Henryk Lukrec.

Z RUCHU KOOPERATYWNEGO.

OSTATNI BILANS „DOMU LUDOWEGO" W BRUKSELLI.

Dwie dalsze rubryki większe z rzędu poświęcone są amortyzacji i opiece lekarskiej. Następnie idzie suma 27,039,94 franków poświęcona propagandzie, drukom etc. Nie będę się tutaj wdawał w sprawę zasadniczą, czy kooperatywa powinna wydatkować tak znaczne sumy na sprawy ideowe, czy też powinna się ona ograniczyć li tylko do celów materjalnych, kwestja ta zaprowadziła by nas zbyt daleko. To wszak wyróżnia właśnie kooperatywę socjalistyczną od innych kooperatyw, że nie ogranicza się ona tylko poprawieniem bytu swych członków, ale dąży do celu ostatecznego, kolektywizmu czy komunizmu, mniejsza o nazwę t. j. do emancypacji ekonomicznej klasy roboczej. Rzecz naturalna, że na tej drodze potrzebuje ona aparatu agitacyjnego. A ponieważ dobrze prosperujące kooperatywy mają dobrze napełnione kasy, więc cóż dziwnego, że część tych pieniędzy udzielają one na cele propagandy dla zjednywania sobie członków i sympatyków i rozszerzania kooperatywy. Znaleźli się obecnie ****) nawet tacy „ortodoksalni" marxiści, co to z pogardą patrzą na kooperację, chętnie atoli zrobiliby z niej dla partji, jak się o tem wyrażają niemieccy kooperatyści, swoją „dojną krowę" i cały dochód utopili w kasie partyjnej, co w ich mniemaniu ma też być propagandą kooperacji, w którą nie wierzą. Na cele propagandy „Dom Ludowy" ma zamiar wydać w obecnem półroczu 27,039,94 fr., co stanowi 9% całego dochodu, a w odpowiedniem półroczu poprzedniego roku wydał nawet 13% ogólnego dochodu. Z tej sumy 13.563,07 fr. przypada na subsydja, czyli akurat połowa. Z pozostałych—8.792.19 fr. przeznaczonych jest na propagandę w ścisłem tego słowa znaczeniu i na druki. Tu zaznaczyć muszę, że „Dom Ludowy" ściśle związany jest z partją socjalistyczną i gorliwe oddaje jej usługi. Partja socjalistyczna korzysta z propagandy kooperatywnej. Z pozostałych 2.208.73 fr. przeznaczonych jest na wsparcia i pomoc członkom, a 1.922,85 fr. na oświatę i naukę. „Dom Ludowy" posiada orkiestrę i trupę dramatyczną amatorów, które wspólnie urządzają przedstawienia teatralne bardzo uczęszczane. Jest to w całem tego słowa znaczeniu teatr ludowy, o którym tyle się teraz pisze i mówi. Niektórzy członkowie prowadzą agitację za teatrem ludowym na otwartem powietrzu. Obok tego „Dom Ludowy" urządza referaty i odczyty naukowe i literackie. I tak, co wtorki są odczyty literackie na których słyszeć można najwybitniejszych poetów i literatów współczesnej Francji i Belgji. Prócz odczytów kooperatywa posiada wcale ładną bibljotekę i zajmuje się nauczaniem języków obcych. Nad innemi rubrykami podziału dochodów zatrzymywać się nie będę, są one zrozumiałe dla każdego, kto choćby pobieżnie zna zasady kooperacji typu Rochdalskiego. W porównaniu z dochodami za półrocze

****) Dopóki kasy kooperatystów były puste unikali ich jak zarazy.

— Kubuś, przyszedeś, dyć lo Boga, tak długo cię nie było. Byłeś we dworze... Dziedzic dali, co?.....

Niemoc odpowiedzi, naprężenie serc, ścisk w piersiach i straszne, grobowe milczenie.

— No, byłeś, dali co?... — powtórzyła niepewnym głosem.

Kuba zaciśnięte pięści podniósł do nieba i wyrzekł ponuro.

— Juści, dali.... bodaj ich ogniste pioruny spaliły. Dali kolke w bok, chorobe na wątrobę!

Stał, dumał długo, coś ciężkiego w sobie ważył i pięściami przyciskał piersi; w wieczornym zmroku słychać było, że mu coś w nich głucho, przeokropnie wyje, jak człowiek pochowany żywcem, że tam coś się łupie, trzaska i pęka w kawały, jak wulkaniczna góra, że tam kraje się serce i złorzeczy sama sobie biedna, stroskana dusza, pędzona bluźnierczo przez możną potrzebę. Wreszcie, Kuba przemówił niskim, krwawym głosem, nabrzmiałym bólem i zapiekłemi łzami:

— Małgoś .... — i nie mógł od razu wydobyć z siebie strasznych słów.

— Czegój? — zapytała Magda.

— Małgoś, słuchaj, co pedom, i bacz pielnie. Zanieś sukmane i kożuch i buty do żyda, albo do sklepiku, niech ci dadzom trocha życio, bo jo.:... jo śmagom... śmagom wieś, śmagom dwór, niech go ta pokręci; ide do Kielc, może ta dostane stróżostwo albo i co inszygo. Ty, miej baczynie na dziecioki i... ostańta z Panem Bogiem... Późni krzyne. przyjade po wos... pozdrów dziecioki... jo ni moge iść do chałupy, nimom sił... No, ostańta z Panem Bogiem..... ostańta!... ostańta!.....

Kubinie, jak by kto nóż w samo serce wraził, albo kołki dębowe na łbie toporem ciesał, taki uczuła ból, słysząc słowa męża; musiała się oprzeć o ścianę, by nie upaść i nie zdechnąć odrazu. Cosik jom tak gnietło, że jakby cały świat walił się na nią w jednym mgnieniu oka, a ona pod tym ciężarem musi żyć, aż do końca swoich marnych dni.

Kuba stał milczący, a ona szeptała cicho:

— To tak... to tak..... to tak... Kubuś .... śmagosz wieś, śmagosz..... śmagosz... śmagggooosz.....

A Kuba głowę spuścił na piersi i mówił nie głosem, lecz krwawym zgrzytem, który wychodził jakby z pod ziemi, jakby z grobu.

— Cichaj, Małgoś, cichaj, cichaj...... kiej mus — to mus!.... Lo chleba! Małgoś, lo chleba... lo chleba—

drugie roku poprzedniego dochody te mają się jak następuje:

	2 semestr 1907	2 semestr 1908
Amortyzacja	45,026,28	40,000,00
Rezerwa	10,000,00	
Opieka lekarska etc.	33,606,60	37,495,42
Chleby gratisowe	8,969,49	9,475,50
Akcje podpisane i zapłacone	5,000,00	
Propaganda, druki i subsydja	45,166,32	27,039,94
$2^1/_2$ $^0/_0$ personelowi	8,885,79	7,191,43
Do zwrotu za chleb	155,776,65	150,955,41
$6^0/_0$ w materjał. spożywczych	25,000,00	20,000,00
$5^0/_0$ w konfekcji	9,500,00	10,000,00
5 ct. z wózka węgli	5,500,00	6,500,00
$2^0/_0$ w mięsie	3,000,00	4,000,00
Ogółem	355,431,13	312,657,70

W tabeli uderza nas ten szczegół, że w ostatniem półroczu kasa rezerwowa nie otrzymała żadnego zasiłku, co jest spowodowane znaczną stratą na sprzedaży chleba. Przeciwnie zarząd uszczuplił fundusz ten o 25 tysięcy fr. w celu pokrycia zobowiązań względem swych konsumentów. Następnie zwraca naszą uwagę cyfra pokaźna 45 tysięcy franków wydanych na agitację w półroczu pierwszem 1908 r. Był to rok wyborów i oto kooperatywa socjalistyczna asygnuje tak znaczną sumę na propagandę socjalistyczną, oddaje cały sztab agitatorów na usługi partyjne, a „Dom Ludowy" zamienia się w fortecę.

Stefan Lichtenstein.

E C H A.

PATRONI I HANDLOWCY.

W pismach ukazała się odezwa do „Panów Pryncypałów" w sprawie letniego wypoczynku pracowników handlowych. „W imieniu białych murzynów, głosi odezwa, pracujących dla dobra Waszego, Panowie, apelujemy do Waszych uczuć ludzkich, dajcie swoim pracownikom urlopy płatne na odpoczynek, choćby parotygodniowy, a z pewnością niewygoda, jaką przez czas ten znosić będziecie, sowicie się Wam opłaci, gdyż każdy z pracowników, po wypoczynku na łonie natury, nabierze więcej energji i chęci do pracy i t. d.

Następnie omawia się trudności jakie powstać mogą przez zmniejszenie się personelu podczas lata, które jednak dadzą się obejść przy dobrej woli pracodawców, wreszcie odezwa się kończy uwagą, iż „czasem parotygodniowy wypoczynek na wsi uchronić może niejednego od ciężkiej choroby, więc bądźcie, panowie, względni i dajcie waszym pracownikom to, co im się słusznie należy, dajcie im wypoczynek letni" — Wierzymy mocno, że autorzy odezwy są wielce spragnieni odpoczynku letniego, jak również i ci, w których imieniu występują (w imieniu 20 tysięcy), lecz okoliczność ta nie uprawnia jeszcze do występowania w tonie tak proszącym i błagalnym.

Apelując do uczuć ludzkich patronów będąc przekonani o słuszności i doniosłości swych żądań, redaktorzy odezwy mogli posiłkować się bardziej rzeczową argumentacją, ujętą w formę bardziej stanowczą, (równie dobrze przemawiającą do rozumu pracodawców) — mogli w odmienny sposób wyłuszczyć powody i względy, jakie ich do kroku tego zmusiły.

Zwracając się do sfery naszych pracodawców, naogół mało uspołecznionych, pracownicy przygotowani być winni na to, że jedna odezwa (w dodatku tej treści co powyższa) nie zdoła wywrzeć pożądanego wpływu.

W stosunkach współczesnych oddziaływanie na opinję publiczną drogą odezw jest niewystarczające; poza niemi winna być prowadzona odpowiednia i planowa akcja, dzięki której jedynie można dopiąć celu.

Akcję taką przeprowadzić może w tym wypadku silnie zorganizowany i wpływowy związek zawodowy pracowników handlowych.

Jeśli zaś w chwili obecnej jest on zbyt słabym i mało zasobnym, handlowcy winni się jąć takich środków, jakie odpowiadać będą sile organizacji.

W społeczeństwie merkantylnem reklama posiada pierwszorzędne znaczenie. Ligi nabywców np. rozwój swój zawdzięczają „białej liście" na której figurują firmy, wypełniające warunki, wymagane przez Ligi. Reklamowanie tych firm pobudza inne domy do reformowania stosunków u siebie w interesie pracowników.

W odezwie handlowców wspomina się np. o tem że „w kilkunastu zaledwie firmach warszawskich jest zwyczaj, że każdy pracownik, pracujący dłużej, niż rok,

---

znaczy z głodu, na wsi z głodu pomrzewa, na wsi i głodu pomrzewa! — pocałował ją zsiniałemi usty, raz jeszcze zaharczał i poszedł. Już go widać niebyło, jeno głos z ciemności dobiegł stroskany uszów Kubiny.

— A pamiętaj o dzieciach, zrób, co pedziołem i ostańta z Bogiem!

— Pamintam... pamintom... pamintom — szeptała głucho za odchodzącym.

A Kuba ruszył z miejsca takim krokiem, jakby ziemia paliła mu bose stopy, a ktoś go gonił z toporem w dłoni; ani się obejrzał, bo noc była ciemna i mróz sielny doskwierał do samej kości. Ziąb był taki, że nikiej zębów w gębie utrzymać. Przystanął, zatrzepał ręce o chude, kościste boki, plunął w garście i szedł dalej w ponurem milczeniu, jeno suchy śnieg skrzypiał nieprzyjemnie pod twardemi nogami; gdy minął ostatnie chałupy, jakaś słabość i niemoc ogromna go opanowała wszechwładnie; coś mu łazić zaczęło po sumieniu, po piersiach i po czułem sercu, jak robak plugawy i obrzydliwy — chciał zmódz, ale niemógł, w żaden sposób niemógł. Doszedł w takiej rozterce do krzyża, stojącego na samym końcu wsi, gdzie rozchodziły się drogi i, tu chwycił go niezgłębiony żal, straszny ból rozstania, przeokropny szloch i łkanie głuche, jakby kto żywcem rwał ciało na sztuki, a brodzące rany zarzewiem zasypywał; runął plackiem na ziemię, jak na podniesienie i objął ziemię, tą swoją ukochaną, biedną ziemię, objął w drogi, najserdeczniejszy uścisk zmaltretowanej nędzą duszy, a głuchy, ciężki, fizycznie zwierzęcy bełkot wydobywał mu się z potężnych piersi w urywanych słowach, które, jak wątłe, bezsilne, wyrzucone z gniazdka ptaki, tłukły się i konały u stóp spróchniałego krzyża.

— Panie Jezu Nazareński! nimoge inaczy! nimoge inaczy.... nimoge... lo chleba!... Chryste!... Chryste!... Chryste, lo chleba... — i leżał długo... Była wielka cisza na całym świecie, jeno gwiazdy złote świeciły na szafirowem niebie i od czasu do czasu spadając, rozrywały ciemności ognistą wstęgą, a on leżał i bił głową o ziemię, i skomlił, jak nie stworzenie Boże, i całował zimny śnieg, zlewał gorącemi łzami i wył na mrozie w noc ciemną, jak wyje zdychający pies, bez pana i bez dachu.

---

korzysta z obowiązkowego płatnego urlopu od 2—6 tygodni".

Wartoby sporządzić listę tych firm, ogłosić ją w pismach; nadać jej możliwie największy rozgłos.

Reklama czyniona domom handlowym, w których panują ludzkie stosunki okaże pożądany wpływ na sfery pracodawców, obudzi w nich chęć współzawodnictwa i na tem polu.

W każdym razie czynniki tego rodzaju będą bardziej skuteczne, aniżeli odezwa w dodatku zredagowana w tym tonie co powyższa. *H. L.*

JAN GAULKE.

KULTURA ESTETYCZNA I KAPITALIZM.

III.

Nowy system pracy.

(Przyczynek do psychologji klasy robotniczej).

W poprzednim rozdziale wykazałem wpływ nowego systemu produkcji na człowieka, a specjalnie na człowieka-kapitalistę. Godzi się obecnie wykazać jak ten system pracy przekształcił pod względem umysłowym i uczuciowym człowieka-proletarjusza.

Doświadczenie uczy, iż człowiek jest wytworem sfery, w której żyje i tworzy. „Człowiek jest tem, czem jest!" Ale w wyższym stopniu jeszcze jest tem, co czyni. Rozległa sfera powołania rozszerza jego pogląd. Rzemieślnik, wykonywujący przedmiot od początku do końca, obmyślający każdy szczegół, by módz wiele podzielonych części połączyć w jedną całość, jest indywidualistą i praca jego przedstawia czyn indywidualny. Przedmioty, nagromadzone w muzeach artystyczno-przemysłowych, mówią nam bardziej wyraźnie i poglądowo o dziejach wielu pokoleń, aniżeli grube tomy historji. Jeśli obejrzymy najdawniejsze prace przemysłu artystycznego, prymitywne sprzęty kościelne w stylu romańskim i ociężałe postacie z palonej gliny i piaskowca, i przejdziemy dalej do rozwoju przemysłu od gotyku do epoki Odrodzenia—we wszystkich przedmiotach dostrzeżemy wciąż powtarzającą się walkę indywidualności twórczej. Każdy przedmiot jest wytworem pracy osobistej robotnika, mówi nam o cierpieniach i uciechach jego twórcy, o jego walce z twardym materjałem i nieustannej pracy umysłowej, skierowanej do wynalezienia nowych form.

Stąd też pochodziło wysoko rozwinięte poczucie własnej godności średniowiecznego rzemieślnika; każdy majster czy czeladnik posiadał własny zasób wiedzy i umiejętności. Pomiędzy majstrem i czeladnikiem nie istniały różnice klasowe, a jedynie różnica stopnia umiejętności.—Dawny czeladnik różni się od współczesnego robotnika fabrycznego zrozumieniem wartości swej indywidualności twórczej. Dla osobnika, który gruntownie posiadł swoje rzemiosło—droga do niezależności ekonomicznej stała otworem; zaś dziś, jednostronnie wykwalifikowany robotnik niema widoków na znaczne poprawienie swego bytu i do końca życia pozostać musi przy swoim zawodzie.

Ideja zawodowa i klasowa średniowiecznego rzemieślnika znalazła swój wyraz społeczny w organizacjach cechowych. Cech odgrywał przedewszystkiem rolę obrońcy interesów rzemieślniczych. Później zaś, kiedy klasa rzemieślnicza stała się poważną siłą i zaczęła walczyć z patrycjatem miejskim o władzę,—cech przybrał charakter partji politycznej i wyraźnej organizacji klasowej. Na schyłku średniowiecza—każde rzemiosło, nie wyłączając zakresu artystycznego, było cechowo zorganizowane. Cech czuwał nad interesami swych członków i starał się możliwie ograniczyć koło zainteresowanych, by módz pewnej ilości rodzin, oddawna doń należących, zapewnić przywileje. Stopniowo mnożyć się poczęły uchwały, skierowane przeciw swobodnemu rozwojowi sił społecznych. Stało się to wówczas, kiedy na terenie ekonomicznym ukazali się pierwsi samodzielni kupcy i kiedy ideja kapitalistyczna z początku nieśmiało, a potem coraz głośniej i gwałtowniej poczęła uderzać we wrota ustroju społecznego. Rzemiosłu poczęło grozić niebezpieczeństwo z tej strony i dlatego też starało się umocnić swe położenie drogą prawodawstwa i organizacji. Stworzono ustawy dla członków cechu, dokładnie określono liczbę czeladników, jaką majster może zatrudniać,—odmierzono ilość materjału surowego, jaką można opracować, skąd i na jakich warunkach winno się go brać etc. Tym sposobem stworzono jednakowe warunki bytu dla towarzyszów cechowych, ale mimo to wzrastały trudności ekonomiczne dzięki konkurencji rzemieślników niecechowych.

Wobec tego cechowcy usiłowali pozyskać opinję publiczną dla swoich celów; zapanował system powszechnego rozgłaszania. Często nawet czysto zewnętrzne cechy wystarczały do uznania poszczególnego osobnika za „niegodnego szacunku". Między innemi i nieprawość pochodzenia uważana była za piętno i człowieka obciążonego niem bezwzględnie wykluczano z towarzystwa, jak również i ludzi, przynależnych do innej rasy, lub innego wyznania. Szczególniej rzemieślnicy rasy słowiańskiej (o żydach przemilczymy) uważani byli w rdzennie niemieckich miastach za ludzi „niegodnych szacunku", których cechowcy uznać nie chcieli za towarzyszów. W podobnem położeniu okazywały się całe zawody: grabarze, celnicy, posługacze miejscy, stróże, kaci, hycle i inni. Ustanowiony został pewien system poważania, stosowany w interesie grup uprzywilejowanych.

Nie można przeoczać tego, że cech, w czasie swego rozkwitu,—nie sprzyjał swobodnemu rozwojowi rzemiosła, przeciwnie, często niszczył młode siły i powstające talenta. Pomimo tego cechowi przypisać należy znaczne zasługi, położone na polu pracy w środowisku rzemieślniczem. Stał się on koniecznym produktem czasu, wyrosłym z istoty rzemiosła. Wraz z niem powstał i upadł cech. Pomimo różnych sprzeczności — posiadał on siłę życiową, póki miał czego bronić,—bronić tajemnicy wytwórczości rzemieślniczej. Rzemiosło polega na umiejętności, osiągniętej drogą doświadczenia, i przekazywanej z pokolenia na pokolenie przy pomocy osobistego nauczania.

Rzemieślnik, usiłujący wytworzyć jakiś przedmiot, musi przedewszystkiem wiedzieć jak rozpocząć pracę i jakiemi posługiwać się ma narzędziami, by dopiąć celu. Kowal obrabia swój materjał, kuje żelazo—to na zimno, to na gorąco, gdyż poznał z doświadczenia zalety i korzyści, osiągane przy tych manipulacjach. Rzemieślnik, chcąc odlać z bronzu figurę—dodaje do materjału miedź i cynę, ponieważ również z doświadczenia wie, że przy takiej kombinacji metalów osiąga się większą twardość. Każdy rzemieślnik zna właściwości materjału, nad którym pracuje, i przeprowadza rozmaite manipulacje zawodowe bez zastanowienia. Potrafi on wykonać wszystko, lecz nie stara się zbadać przyczyn powstawania czegośkolwiek.

Główną podstawą gospodarstwa rzemieślniczego stała się umiejętność osobista. W produkcji tej ceniono głównie samodzielne przezwyciężanie trudności

fachowych, wiadomości zawodowe, możność zbadania własności towarów przy pomocy zmysłów. Szewc, krawiec, kapelusznik—próbując ręką dany materjał—poznawali dokładnie jego gatunek. Dotyczy to tak samo wytwórców artykułów spożywczych: rzeźnik, piekarz, cukiernik, piwowar, chcąc zadowolić wymagania spożywcy, posługiwali się własnym smakiem. Mularz, kowal, kołodziej częściej robili na oko, niż wymierzali.

(D. c. n.).

KRYTYKA I SPRAWOZDANIA

Zygmunt Różycki. Promienne kwiaty. Poezje *Nowości literackie.*

Homo sum, humani nihil a ure alenum puto — mówili starożytni Rzymianie. Aforyzm ten jednak między poetami dzisiejszego liryzmu jest tylko aforyzmem niczem więcej. Różycki, którego łzawy, pełen bezpretensionalnego a szczerego uczucia talent postawił w rzędzie popularnych już pieśniarzy „Młodej Polski" bynajmniej nie ma zamiaru temu zaprzeczyć nie aspirując do objęcia w ramiona wyższych i bardziej złożonych cierpień ludzkości. Poeta wytworzył sobie swój świat, świat nader skromnych wartości i pozostaje tam, o ile sądzić można, dosyć spokojny o los swój i swego talentu.

Powstając pod urokiem miłosnych uniesień -- Różycki zatraca duchową czystość swego uczucia — kobiety które w stosunku do lirycznych poetów (prawdopodobnie siłą kontrastu) — podnoszą się do wyżyn bezinteresownej „ofiary" nie są dla niego niczem innem, jak drugą płcią, pozbawioną jednak tych duchowych — pośredniczy odrębności, które wywołały zjadliwą analizę duszy kobiecej — przez Weinningera lub zdecydowaną nienawiść Strinberga. Widzi w nich tylko skarbnice uciech miłosnych — których szczerze pożąda, więcej zmysłem zamaskowanego dobrze erotomana — niż otwartego liryka. Jego jednak gołębia prostota nie pozwala się zbytnio zastanawiać nad zjawiskami, w których nawet sam bierze udział. Usposobienie Różyckiego nie znosi zbyt analitycznych form obcowania ze światem. Jego talent pełen poczucia melodji wierszowej, opanowany w formie błąka się jednak między zjawiskami tego świata dobrze nie zdając sobie sprawy co jest więcej godne uwagi — czy kwiatek wpięty we włosy jakiejś panny X — czy rewolucja narodu — lub jego posępna wędrówka ku nicości!.... Różycki jest poeta jakby wykrojony z wyobraźni starej panny — pełen wiosny — co podobno ma być na tym warszawskim świecie pierwszym kamieniem pomnika.

Wiosenność — pełna zieloności i śpiewu słowików — pora duchowego roku poety — nie jest jednak u Różyckiego — zakrzepłą manierą. — Poeta jest jeszcze naprawdę młody i naprawdę utalentowany. Piąta serja jego poezji dowodzi, że bądź co bądź rozwija się — co raz bardziej. Swiadczą o tem choćby takie utwory jak naprawdę piękne sonety „ze wspomnień".... i.... wiele innych, .które ciekawy znajdzie w jego książce. *St. Kiedrzyński.*

U. SINCLAIR.

METROPOLIS.

Harvey miał mu również ważną wiadomość do zakomunikowania, gdyż, jak mówił, rozmawiał niedawno o procesie z Freddie Vandem.

Montague dopytywał się o zdanie tego ostatniego. Harvey począł się śmiać. — Że jest wściekłym—tego chyba nie potrzebuję panu mówić. Wyobraża on sobie, że „Fidelity" jest jego wyłączną własnością i że każdy, kto śmie przeciwko temu towarzystwu wystąpić, wyrządza tem samem jemu zniewagę osobistą. Lecz zupełnie dobrze pomiarkowałem, że nie domyśla się nawet kto jest główną sprężyną procesu.

— Czy wie co o Ellisie?—spytał Montague.

— Tak—odrzekł Harvey.—Utrzymuje on, że Ellis oddawna miał „Fidelity" za dojną krowę. Ale nie o to idzie. Daleko bardziej zastanawiającem jest to, że Freddie Vandam zdaje sobie sprawę tylko z mniej ważnych okoliczności, że przeto nigdy nie docieknie tajemnicy Wie on o tem, że ta lub owa klika ma apetyt na towarzystwo, lecz nie domyśla się nawet jacy ludzie są głównymi aktorami tej całej hecy. I stanie się tak, że zostanie pokonanym, nie wiedząc nawet o tem, kto go pokonał.

Montague siedział dłuższy czas w niemem zamyśleniu.

— A co sądzi pan o Wymanie?—spytał wreszcie.

— O nim nic nie wiem—odrzekł Harvey—prócz tego tylko, że należy do partji Reggies'a.

— W każdym razie jest to brudna sprawa—zauważył Montague.

— Nietyle może brudna, ile zagmatwana. Gdybym chciał wszystko powtórzyć, co ludzie o tem mówią, to by się panu w głowie pomięszało.

Wkrótce po tej rozmowie Montague pojechał na bal do klubu Longislandzkiego Parforce'u.

Zabawa była świetną, lecz jego do tego stopnia opanowały ponure myśli, że muzyka i istny potop kwiatów i bajeczne tualety dam nie sprawiały na nim żadnego wrażenia. Nadto na balu owym doznał wielkiej przykrości.

Dostrzegłszy Laurę Hegan przywitał ją i pomny na jej dawną serdeczność, chciał wdać się z nią w rozmowę. Lecz Laura zbyła go paru krótkiemi odpowiedziami, a po chwili odeszła, nie żegnając się. Montague poczuł się prawie obrażonym. Potem jednak przypisał dziwne zachowanie się Laury Hegan ludzkiej gadaninie o tem co jakoby zaszło między nim a Mrs. Winnie. Jednak ta doznana przykrość zepsuła mu humor na parę dni. Niedzielę spędził samotnie i nie zważając na śnieżycę wybrał się na daleki spacer. Wciąż tylko myślał o przeszłości, co sprawiało mu obrzydzenie i o przyszłości—której się obawiał. Gdy o zmierzchu powrócił do domu, zastał depeszę datowaną z New-Jorku:

— „O dziewiątej wieczór przyjeżdżam na Penna banhof. *Alicja.*

Nie miał nawet czasu porozmawiać z Oliverem. Wskoczył w samochód i kazał się zawieźć na dworzec. Nagły przyjazd Alicji był dla niego zagadką nie do rozwiązania. Przed paru dniami pisała z Los Angelos, że jeszcze zabawi tam ze dwa tygodnie.

Będąc już na dworcu, dowiedział się, że o dziewiątej przychodzi kurjer zachodni i to go znów niepomiernie zdziwiło, gdyż Alicja powinna była przyjechać jednym z pociągów wschodnich —Kurjer był spóźniony o pół godziny; wreszcie doczekał się go i wybiegłszy na peron, spotkał się po chwili z Alicją. Była samą.

— Cóż to wszystko znaczy? — pytał z niepokojem.

— Ach, to długa historja!—odrzekła.—Chciałam już być w domu.

— Czyż byś całą podróż odbyła sama?

— Tak jest, samiuteńka—mówiła, przymilając się.

— Lecz jakżeż Prentices mogli na to pozwolić?

— Oni nie wiedzieli o tem, bo—uciekłam! Miej

chwilkę cierpliwości. W domu dowiesz się o wszystkiem.

Lecz on nalegał, pragnąc się dowiedzieć zaraz.

— Och, nie męcz mnie! - prosiła Alicja—Nie mogę o tem mówić. Widzisz, „ktoś“ zmusił mnie do ucieczki.

— Czy nie Charlie Carter?—spytał, tknięty przeczuciem.

Skinęła potwierdzająco głową.

Dopiero, gdy znaleźli się w dorożce, zaczęła opowiadać.

— Myślałam, że zwarjuję. Ale teraz już jestem spokojną, bo już cały tydzień upłynął. Boję się jednak opowiedzieć ci wszystko, bo mógłbyś zanadto wziąć do serca. Zresztą, biedny Charlie nic nie był winien, tylko ja sama jestem winną, żem nie posłuchała twojej rady i nie unikała go.

Lecz Montague nalegał by mu powiedziała wszystko.

— Jeżeli koniecznie chcesz—to słuchaj. Charlie Carter oświadczył mi się zaraz w pierwszych dniach naszej podróży. Potem nie dawał mi spokoju, aż pewnego dnia przyszedł do mnie, do hotelu. Rzucił się na kolana przedemną i płakał; przysięgał, że bezemnie żyć nie może. Naprożno przemawiałam do jego rozsądku. W końcu — w końcu Charlie rzucił się na mnie!... Zlękłam się go i zagroziłam, że wezwę ludzi na pomoc. Oto wszystko.

— Cóż się dalej stało?

— Zrozumiałam, że powinnam natychmiast wyjechać. Spakowałam rzeczy i kazałam się zawieźć na kolej. Odjechałam pierwszym pociągiem wschodnim, by uniknąć pogoni Charlie. Do Mrs. Prentice napisałam list, usprawiedliwiający swój nagły wyjazd depeszą, otrzymaną od ciebie.

Montague nic nie mówił, zaciskał tylko pięście.

— Więc teraz rozumiesz — kończyła Alicja—dla czego chciałam być w domu?

— Tak, rozumiem — rzekł Allan — i dziękuję ci za to.

Gdy już byli w domu, Montague przez telefon zawiadomił Olivera o przybyciu Alicji i opowiedział mu jej przygodę z Charlie Carter'em.

Nazajutrz o jedenastej zaczynał się proces. Od trzech miesięcy Montague wyczekiwał tego dnia z niecierpliwością. Proces był jedynym celem jego życia, myślał o nim w dzień i w nocy. Przygotowywał się do niego, jak atleta do walki zapaśniczej. Czuł się, zresztą, doskonale usposobionym i był pewnym, że odniesie zwycięztwo. Gdy więc w dzień procesu jechał do miasta, drgały w nim wszystkie nerwy.

Przyszedłszy do biura, zastał list od Mr. Hasbrooka. Treść jego równała się otrzymaniu pchnięcia nożem w samo serce.

Mr. Hasbrook pisał:

„Mam zaszczyt zakomunikować, że towarzystwo „Fidelity" uczyniło mi propozycję, możliwą do przyjęcia. Wskutek tego między mną, a towarzystwem nastąpiło porozumienie. Upraszam Go o cofnięcie, wniesionej do sądu skargi i piszę się

Najpowolniejszym Jego sługą

Hasbrook.

Niby grom w niego uderzył! Siedział skamieniały, bezwładne ręce opuściły list na ziemię. Gdy przyszedł do siebie, pierwszą jego myślą było zatelefonować do Hasbrooka. Kazał się najprzód połączyć ze swoim sekretarzem, któremu wydał polecenie telefonowania do swego klienta. Po chwili sekretarz odpowiedział mu: „Stacja centralna mówi, że z numerem Hasbrooka niema komunikacji...

Znaczyło to, że słomiany człowiek, jakim był Hasbrook zniknął z horyzontu!

Był to cios straszny i Montague miał wrażenie, że zapada w otchłań. Cały cel jego życia i usilnej pracy został zniweczony. Zdawał też sobie sprawę z tego, jak okrutnie z niego zadrwiono. Lecz nie mógł nic na to poradzić.

Cały dzień spędził w biurze, miotany sprzecznemi uczuciami. Przyszła mu myśl, by rzucić wszystko „strząsnąć pył stolicy z obuwia" i wrócić do swej ojczyzny. Lecz po chwili myśl ta wydała mu się niedorzeczną. Przeciwnie chciał walczyć za wszelką cenę. Przecież mógł znaleźć innego człowieka, ubezpieczonego w „Fidelity“, który by go nie zdradził. A prócz tego mógł też walczyć z towarzystwem w inny sposób n. p. podburzając przeciwko niemu prasę.

Pod wieczór wrócił do domu zwątpiały, prawie chory. Oliwer, który na niego czekał, począł go zarzucać pytaniami:

— Powiedz mi, Allan, co właściwie zaszło między tobą, a Mrs. Winnie?

— Dla czego? Cóż ci na tem zależy, by wiedzieć?

— Bo wszyscy mówią, żeście się pokłócili.

— Możesz temu niewierzyć—odrzekł sucho Montague.

— Jednak coś musiało między wami zajść! Dziś właśnie spotkałem się z Mrs. Vivie Patton, która, zobowiązując mnie do zachowania tajemnicy, opowiedziała o tem, żeś ty się oświadczył podobno Mrs. Winnie, a ona kazała ci dom swój opuścić.

— To kłamstwo! zawołał Montague, trzęsąc się z oburzenia.

— Być może—rzekł Oliwer,—lecz w każdym razie coś między wami było...

— Ach, daj mi spokój!—krzyknął brat starszy.— Nie pytaj o nic! Idź sobie! Z temi słowy wybiegł do sąsiedniego pokoju, w którym się zamknął i począł biegać wielkimi krokami, jak dzikie zwierzę w klatce. Miał już dość tych wszystkich kłamstw i bezczelnej obłudy, miał dość tego całego „świata"!

Nagle otworzył drzwi i oznajmił donośnym głosem siedzącemu wciąż jeszcze na tem samem miejscu bratu:

— Oliver—wyjeżdżamy!

Oliwer zgłupiał, nie pojmując zrazu znaczenia tych słów.

Lecz Montague zwierzył się ze swych zamiarów zupełnie jasno i wyraźnie:

— Wyjeżdżam jutro z Alicją raz na zawsze z New Jorku, bo mi życie stolicy zbrzydło. Dokąd?— sam jeszcze nie wiem. W każdym razie nie prędko się zobaczymy. (Dokończenie).

KRONIKA.

LIST DO REDAKCJI.

Szanowny Panie Redatorze!

Mamy honor zakomunikować co następuje:

W niedzielę dnia 13-go czerwca staraniem „Spójni“ stowarzyszenia studentów polaków w Paryżu, „polskiego Uniwersytetu ludowego" im. Stanisława Worcella w Paryżu, oraz „Towarzystwa pracujących polaków“ w sali a la Terasse obok cmentarza Montmartre odbył się wiec zwołany celem napiętnowania kardynała Puzyny za jego wystąpienie przeciw złożeniu zwłok Juljusza Słowackiego na Wawelu. Nader licznie zebranym członkom kolonji polskiej przewodni-

czył profesor Józef Kaczyński z Warszawy, do prezydjum powołano nadto panów: Szretera, profesora szkoły batignolskiej, artystę malarza Zygmunta Szelbia, Jana Stróżeckiego przedstawiciela pol. Uniwersytetu lud. im. St. Worcella, Żongołowicza przedstawiciela Tow. pracujących polaków, oraz przedstawiciela „Spójni" p. Leona Reynela na sekretarza.

Po ożywionej dyskusji, jaką wywołał odczytany i umotywowany przez p. Hieronimkę projekt rezolucji, przyjętą została jednogłośnie następująca uchwała:

„Polacy zgromadzeni w Paryżu, na wiecu publicznym w dniu 13-go czerwca 1909 r. piętnują postępek kardynała Puzyny, który oparł się woli ogółu zabraniając złożenia zwłok Juljusza Słowackiego na Wawelu, przyłączają się do protestu przeciw tej klerykalnej samowoli, domagają się zarazem podjęcia kroków celem sekularyzacji Wawelu.

Po zamknięciu wiecu zebrani pochodem udali się na mogiłę wieszcza, którą obrzucono kwieciem. Nad grobem polskie stowarzyszenie śpiewacze „Pieśń" pod dyrekcją D-ra Janowicza odśpiewało kilka odpowiednich do nastroju chwili pieśni.

Za Komitet Organizacyjny
Sekretarz Wiecu: *L. Reynel.*

14|VI 1909 r.

Tejże treści protest ogłasza Polski Związek Nauczycielski.

— W dniu 21 czerwca odbył się w Krakowie wiec protestacyjny młodzieży akademickiej przeciw znanemu zakazowi kardynała Puzyny złożenia zwłok wieszcza na Wawelu.

Na wiecu tym uchwalono dwie rezolucje. Pierwsza z nich w ogólnej treści zgadza się z rezolucjami, uchwalonemi na wiecach zarówno w Krakowie i we Lwowie, jak i w kolonjach młodzieży zagranicznej.

Druga zaś brzmi: „Wiec zwraca się do Sejmu i Koła polskiego aby przedstawicielstwa te wszczęły kroki o oddanie w zarząd grobów królewskich na Wawelu w ręce Sejmu Galicyjskiego".

Po przyjęciu tych dwuch rezolucji młodzież (w liczbie 600 osób) wyruszyła w pochodzie z uniwersytetu ku pałacowi kardynała celem urządzenia tam demonstracji. Tuż przed wylotem ulicy Wiślnej zastąpił pochodowi drogę silny oddział konnej i pieszej policji. Bez żadnego uprzedzenia i wezwania do rozejścia się agenci i żołnierze z dobytymi pałaszami rzucili się na tłum.

W rezultacie okazało się 7 rannych, których opatrzyło Pogotowie, zaś poturbowani w liczbie dwudziestu kilku rozbiegli się do domów.

Młodzież wystosowała z tego powodu depesze do Koła polskiego i klubu socjalistycznego z wezwaniem o natychmiastowe wniesienie w tej sprawie interpelacji do Rady państwa. Wysłano również depeszę do ministra spr. wewn. z przedstawieniem gwałtów policji krakowskiej.

— Współpracownicy warszawskiej filji komp. akc. „Singer", strajkujący od paru dni, przybyli 39 b. m. około godziny 6-ej po południu do biura zarządu Towarzystwa przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 137, ażeby zawiadomić szefów Towarzystwa o swych żądaniach. Niebawem jednak do biur przybyła policja i wszystkich przybyłych, w liczbie około 70, aresztowała.

* * *

Dotychczasowy przebieg strajku w firmie „Singier" jest następujący:

Po pamiętnem w tej firmie bezrobociu w r. 1906, pracownicy uzyskali pewne ulgi, obecnie jednak zarząd kompanji „Singer" cofa je i wprowadza nowe normy. Tymczasem w nocy z poniedziałku na wtorek aresztowano 5 osób, następnej zaś nocy dokonano rewizji 18 mieszkań, gdzie jednak nie aresztowano nikogo. Z tego powodu wyłoniona z pośród pracowników delegacja doręczyła zarządowi żądania, sprowadzające się głównie do żądania utrzymania warunków, wprowadzonych w r. 1906. Zarząd warszawski odpowiedział delegacji, iż rozstrzygać sam sprawy tej nie może, a porozumieć się musi z zarządem na Cesarstwo w Petersburgu, dokąd też wysłał jednego z dyrektorów. W wyniku rokowań delegaci oświadczyli, że pracownicy zaniechają bezrobocia i powrócą do pracy tylko wówczas, gdy zarząd uwzględni ich żądania, przyrzeczone w r. 1906 i poczyni starania o wypuszczenie owych 5 aresztowanych.

W związku z bezrobociem wczoraj rano dokonywano licznych aresztowań w ogrodzie Saskim; aresztowano około 50 osób.

— Niejaki Wakar w r. 1906 złożył na ręce gubernatora kijowskiego zawiadomienie o zamiarze wydawania pisma socjalno-demokratycznego „Wpieriod", które miało na celu być wyrazem ekonomicznych i politycznych dążności klasy robotniczej.

Gubernator nie dał mu jednak świadectwa na prawo wydawania pisma tego rodzaju, ponieważ uważał, że pismo projektowane będzie miało charakter organu socjalno-demokratycznej partji, która dąży do poderwania podstaw obecnie istniejącego ustroju w państwie.

Wakar wówczas wniósł skargę do Senatu

Senat, rozpatrzywszy niedawno skargę tę, uznał, iż w danym wypadku nie mógł być zastosowany art. VII p. 4 lit. b. tymczasowych przepisów o prasie, na mocy którego, jeżeli tytuł pisma lub program jego zawiera cóśkolwiek sprzecznego z moralnością lub ustawodawstwem karnym wówczas gubernator odmawia świadectwa.

Senat odrzekł, iż odmowę gubernatora w stosunku do projektowanego przez Wakara pisma jest niezgodną z przepisami o prasie, ponieważ Wakar nie miał zamiaru wydawać pisma, jako organu partji socjalno-demokratycznej, dążącej do zburzenia istniejącego ustroju państwowego, lecz miał zamiar wydawać pismo socjalno-demokratyczne, wyrażające dążności ekonomiczne i polityczne klasy robotniczej.

— I-szy zjazd pracowników handlowych.

W dalszym ciągu udział w zjeździe częstochowskim zgłosiły następujące organizacje: „Stowarzyszenie zawodowe pracowników technicznych i administracyjnych Królestwa Polskiego" (delegaci pp.: Stanisław Osiecki, Jan Maro, Stanisław Trzeszczkowski i Henryk Gutt). „Stowarzyszenie wzajemnej pomocy „Zjednoczenie" (delegaci pp.: J. Freisinger i Hellwig), oraz „Związek buchalterów" (delegat p. Tomasz Piętowski).

Ogółem do chwili obecnej zapisało się 15 stowarzyszeń.

Redaktor i wydawca **Władysław Gacki.** Drukarnia Artystyczna K. Kopytowskiego Nowy-Świat 47.